

Transformacja jako wieczna farsa

5 czerwca 2016

Poproszono, bym napisał, jak zapamiętałem dzień 4 czerwca 1989 r., bo nie tylko byłem wtedy członkiem PZPR, ale i aktywnym lewicowym publicystą. A głosy takich ludzi są dziś na odległym, niesłyszalnym marginesie. Dominuje zaś prawicowa narracja tłustych, postsolidarnościowych kotów, które, jako „elita narodu”, grzeją się zadowolone przy piecu polityki i śnią mity wywalczonej jakoby tylko przez nich niepodległości i wolności.

Ale do wspomnień na ten temat nie jestem skory, bo wgląd w ten dzień daje niewiele. Niech więc te koty sobie mruczą do woli. Nic mi po tym. Ważniejsze jest coś innego: następstwa owego dnia, które przygniatają większość społeczeństwa po chwilę obecną, których te „elity” nie chcą widzieć. Bo inaczej musiałyby swe osiwiiałe łby posypać popiołem.

Nie piszę tu jednak nic szczególnie nowego. Powtarzam się. Ale wolno mi być głosem wołającym na (umysłowej) puszczy zwłaszcza w takie „wielkie, narodowe święto”.

NOWY POCZĄTEK NARODOWEJ FARSY

Oto po tzw. „częściowo wolnych” wyborach w czerwcu 1989 r. najweselszy barak w RWPG – jak wtedy określano Polskę – rozsypał się. Blok Wschodni bowiem przegrał Zimną Wojnę z Zachodem. Odsłoniło to nową przestrzeń dla Polski. Określiło azymuty zbiorowych i jednostkowych działań. Dawne ich odniesienia straciły sens.

Zdjęto wtedy flagę czerwoną i wywieszono biało-czerwoną, co odpowiadało miejscowej tradycji, folklorowi i specyficznemu poczuciu humoru.

To poczucie wyraziło się również w tym, że milicjanci w galowych mundurach wkroczyli do świątyń, przyklękali przed ołtarzami i zmienili się natychmiast w policjantów. Natomiast generałowie w tym samym czasie czyścili dusze z marksizmu-leninizmu, deklarowali wierność niepodległej ojczyźnie i rynkowi. Przebierali nogami, by zapisać się na pielgrzymki na Jasną Górę.

Społeczeństwo natomiast objawiło się sobie jako obywatelskie; ustrój zaś zdał się od początku na wskroś demokratyczny. I powszechnie wyobrażano sobie, że nie tylko zachowane zostaną, nabyte w ustroju poprzednim, prawa oraz przywileje pracownicze i socjalne, ale też, że nastanie dobrobyt, jak w najbardziej rozwiniętym kapitalizmie. Komu zaś będzie tego mało – może wyjechać swobodnie na Zachód, bo wraz z berlińskim murem – znikają przeszkody uczestniczenia w uprzywilejowanych tam rynkach pracy. Podnosiło to radosne nastroje i zaślepiało mieszkańców owego baraku.

Nie dziwota więc, że nastąpiły – z jednej strony – masowe ideologiczne nawrócenia na prokapitalistyczne postawy; z drugiej – wdeptano w ziemię nie tylko dotychczasowych pretorianów i duchowych obrońców PRL, ale umazano błotem lub zmarginalizowano nawet najbardziej heroicznym i mądrym jeszcze niedawnych jego przeciwników o nastawieniu lewicowym.

Wszystko, co służyło trwaniu i rozwojowi tego baraku, uznano teraz za zło; co mu szkodziło – za dobro. Politycy, którzy przegrali zmienili się w zwykłych przestępców. Ci, co wygrali, lub w odpowiednim momencie znaleźli się po właściwej stronie – wielkimi mężami stanu. Świat stanął na opak i zdało się, że historia się skończyła. Oto fanfary odtrąbiły jej koniec i Zimnej Wojny. Nastał natomiast czas prozaiczny: prywatyzacji, walki o władzę, pozycję społeczną i stanowiska. O dostęp do zawłaszczania i bogacenia się.

Należało wszakże rzeczywistość powtórnie ideologicznie zaczarować: do panteonu bohaterów i świętych dołączyć

„polityczne ofiary PRL” i głośnych opozycyjnych gęgaczy. Internowanych zaś lub więzionych w stanie wojennym (czy po nim) zamienić w polityczne święte krowy. Ustrój miniony nazwać „komunistycznym” i skryminalizować jego oficjalną ideologię. Wprowadzić religię do szkół i krzyże do siedzib publicznych. Ponownie ukoronować orła. Zburzyć „niesłuszne” pomniki i postawić nowe. Zmienić nazwy ulic. Itp., itd... A potem jeno błogo pograć się w aurze wspólnotowego sacrum.

NOWY, WYZWOLONY ŚWIAT

W oparach owego zaczarowania dawna opozycja przejęła państwo i jego instytucje od PZPR. Częściowo wprowadziła własne kadry oraz podzieliła się aparatami ideologicznymi i majątkiem narodowym z Kościołem, za co Bóg miał zapłacić. Dlatego kontrolną i duchowo władczą pozycję wobec jednostki zajęła machina Kościoła, która – z jednej strony – podjęła się recyklingu religijnego sacrum i tradycji; z drugiej – próby przejęcia władzy nad moralnością, myśleniem, emocjami, a nawet nad figlowaniem w pościeli. A pozostałe aparaty ideologiczne kapitalistycznego państwa, podobnie jak dawne, zajęły się wytwarzaniem tego, co potrafią: wyobrażeń, że ten świat wreszcie jest najlepszym ze światów.

Jednocześnie takie wypracowano techniki i ordynacje wyborcze, aby w parlamencie zawsze znajdowali się, i nie mogli być usuwani, mniej więcej ci sami (lub tacy sami) członkowie z tych samych, przekraczających próg wyborczy, partii. Tworzyli oni (i tworzą) odpowiednik niegdysiejszego Komitetu Centralnego, którego bardziej łączą przywileje i interesy, niż dzielą programy i ideowe orientacje. Zakonserwowało to nasz wesoły barak po wsze czasy, który dla pogłębienia stanu szczęśliwości został w pewnym momencie wessany przez NATO i UE.

Trzeba było tylko przedtem „pozamiatać”: przyspieszyć (faktycznie rozpoczętą już w PRL) prywatyzację wszystkiego, czego tylko wymagają zasady neoliberalnego kapitalizmu;

wprowadzić stosunki rynkowe, zapewnić wolność dla przepływów kapitału i zezwolić na takie podporządkowanie mu pracy, które zapewnią zyski, jakich nie miałby gdzie indziej. Owo „zamiatanie” też wszakże nie było novum, lecz ideą już w latach osiemdziesiątych stopniowo realizowaną przez PZPR. Tyle, że po 1989 r. nabrało ono przyśpieszenia. Jednak nie przypadkiem wczorajsi decydenci znaleźli się u boku postsolidarnościowych elit, jako „bezpartyjni fachowcy” lub członkowie ich partii, i stali się gorliwymi „budowniczymi kapitalizmu”. A także jego współbeneficjentami.

A ponieważ udało się to wszystko zrobić bez znaczących sprzeciwów klas pracujących, których wcześniejszy bunt wobec warunków pracy i życia w PRL wyniósł owe elity, powstało złudzenie, że – jak to ujął J. Kochan – „klasowa interpretacja jest już teraz w całości pogrzebana i zastąpiona narodowo-katolickim ruchem wyzwolenicznym czy nawet narodowyzwolenicznym”; że właśnie świat pracy „odrzucił socjalizm, jako realną alternatywę ustrojową dla kapitalizmu”; podmiotowość zaś klasy robotniczej, „o ile się przejawiała, to jako siła antysocjalistyczna i prokapitalistyczna, niekierująca się obcym, burżuazyjnym interesem klasowym, lecz narodowym, dowodząc tym samym jakoby bezpodstawności klasowych dystynkcji, walki klas i sprzeczności interesów o wymiarze klasowym”. Krótko mówiąc: nastąpiła wymarzona od lat siedemdziesiątych przez władze PZPR „jedność moralno-polityczna narodu”.

Prokapitalistyczna transformacja jednak nie sprowadzała się głównie do sfery nadbudowy i świadomości. Wymagała deregulacji istniejącego systemu produkcji, by spełniała ona kryteria rynkowe i utrzymywała płace na niskim poziomie. Konieczne też było urynkowanie cen towarów, w miejsce regulowanych przez państwo. Spowodowało to bezrobocie, pauperyzację i niepewność losu milionów ludzi. Jednocześnie od początku transformacji majstrowano przy kodeksie pracy i likwidowano przywileje socjalne, jako nieracjonalne pozostałości minionego ustroju.

Znikały też biblioteki, kina, żłobki, przedszkola, zakładowe ośrodki wczasowe i mieszkania pracownicze itd. Państwo zaś czekało, aż wszystko ureguluje niewidzialna ręka rynku. Jego natomiast wysocy funkcjonariusze, po odejściu z urzędów stawali się krajowymi doradcami zagranicznych korporacji gospodarczych lub finansowych, prezesami powoływanymi tu ich filii czy właścicielami własnych firm.

Ludzi pracy najemnej zostawiono zaś samym sobie. Zzera ich więc niezmiennie od ponad ćwierćwiecza pogoń za pieniędzmi na podstawowe środki utrzymania, na czynsz za mieszkanie, czy na spłaty rat za (w naiwnej ufności) zaciągane masowo kredyty. Zaślepia lęk przed bezrobociem. Zniknęła jednak rzeczywista lewica, a oparciem dla nich przestał być od 1989 r. nawet ruch związkowy.

Okazało się bowiem, że – jak powiada J. Kochan – „ukonstytuowanie się burżuazyjnej demokracji parlamentarnej niszczy ostatecznie taki ruch i całkowicie marginalizuje jego aktywność polityczną na rzecz wyborczych plebiscytów organizowanych przez władzę kapitału w państwie, na rynku, w warunkach zapewniających hegemonię klasową w systemach oświatowych, wychowawczych, religijnych i w podporządkowanych szczerlnie władzy kapitału mediach (prasie, radiu, telewizji). Demokrację komitetów delegatów zastępują komitety wyborcze”. Został więc różaniec, Radio Maryja i faszystująca, populistyczna prawica. I – oczywiście – mruczenie zadowolonych tłustych kotów „elit narodu” zarówno z rządzącego dziś PiS, jak i pomstującej na brak demokracji opozycji.

Natomiast żywiołową odpowiedzią na to wszystko stało się wycofanie ludzi pracy najemnej w mniej lub bardziej zgrzebną prywatność i niewidoczną dla postronnych osobność. Na zewnątrz nich toczy się polityka i szeleszczą patriotyczne frazesy.

IDEOLOGICZNE TRELE-MORELE

Zmarginalizowana i spauperyzowana została też inteligencja.

Poza oczywiście tą jej częścią, która weszła na szczyty aparatu władzy, biznesu, przemysłu rozrywkowego albo korporacji medialnych. Pisarz zaś, uczonec czy artysta – nie tylko nie ma tych przywilejów i pozycji, co w PRL, ale klepie na ogół biedę i błąka się w kręgach podobnych sobie. Wypłakuje się (najczęściej za darmo i na darmo) w niszowych czasopiśmiech czy książkach, i nawet marzyć nie może, by, jak postulował kiedyś A. Walicki, „spełniać rolę kapłana – dokonywać obrzędu inicjacji, wprowadzania nowych pokoleń do wspólnego świata duchowego”, bo tę rolę, przy pełnej aprobacie i poparciu państwa, przejął Kościół i rozdysponował ją wśród swych funkcjonariuszy. Ale jedynym jak dotąd z jej strony odzewem jest tylko wzrastający antyklerykalizm, któremu niestety wciąż daleko do radykalnego krytycyzmu społecznego.

Nic zresztą w tym dziwnego, skoro ta inteligencja nie widzi nawet społecznych źródeł własnego położenia. Boi się i religijnych pastuchów i rozpanoszonych nacjonalizmów. Jest jednak intelektualnie wobec nich bezbronna. W narodowych zaś mitach i legendach, zmienionych w płaskie, moralizatorskie historyjki, dostrzega tylko abstrakcyjne „wartości”, tworzących jej i Polaków tożsamość. Prześlepia, że stanowiły one duchowy wyraz historycznego doświadczenia pokoleń inteligencji, sięgającego drugiej połowy XVIII wieku. Prześlepia, bo pozwoliła, by wytrzebiono z niej historyczną wyobraźnię socjologiczną. Tylko ona pozwoliłaby jej zauważyć, że owo doświadczenie było nie doświadczeniem mitycznego „narodu”, lecz ideowych pomiotów dawnej „szlachty gołoty”, stanowiącej ponad 95 procent szlachty herbowej. Podnosząc „sprawę narodową”, walcząc w powstaniach, cierpiąc w więzieniach, niosąc „kaganek oświaty” do ludu itp. owa „gołota” zmagająca się jednocześnie z własną ekonomiczną, prawną i kulturową degradacją (najpierw do poziomu chłopów pańszczyźnianych, potem chłopów i robotników rolnych) z polskim ziemiaństwem oraz z administracją zaborców. W rezultacie owa szlachta zawsze udająca kogoś, kim społecznie i klasowo nigdy nie była, narzuciła swe poglądy tym, na których

patrzyła z góry, i którymi i w istocie pogardzała: chłopom, robotnikom czy chłoporobotnikom. Potransformacyjne zaś społeczeństwo polskie to przecież w większości chłopi z pochodzenia, udający „szlachtę gołotę”. I to jest właśnie dzisiejsza farsa! Niestety, aby to udawanie mogło zaistnieć, musiał wydarzyć się wcześniej pereelowski awans cywilizacyjny właśnie chłopstwa, jako tragedia historii w rozumieniu Marksa.

Na sytuacje więc, jakie jej i klasom pracującym zafundowała transformacja nie jest (jak i wcześniej nie był) odpowiedzią zryw czy permanentny bunt, lecz usidlenie przez ową farsę. Z lęku bowiem, by już nigdy się nie powtórzył rok 1944 i następujące po nim przemiany, za istniejący stan rzeczy posłuszne aparaty ideologiczne skutecznie obarczają winą przede wszystkim miniony ustrój.

Wprawdzie powstają znaczące literackie książki i filmy, a nawet seriale telewizyjne, ukazujące dzisiejszą Polskę jako permanentną groteskę, lecz z licznych ambon, uczelnianych katedr, na szkolnych lekcjach wychowania obywatelskiego, a także w gazetach, radiu i telewizji wmawia się, że wciąż ciążące nad narodem skutki istnienia i długiego trwania PRL osłabiają możliwości realizacji niesionych przez inteligencję „wartości”.

Nie demaskuje się więc bezwzględności kapitału i służalczości wobec niego państwa, lecz – z jednej strony – obarcza się odpowiedzialnością rządzące partie za zbyt mały patriotyzm lub za nadmierną uległość wobec potęg zewnętrznych; z drugiej natomiast – winnymi czyni się tych, co byli niegdyś społecznie i politycznie aktywni po stronie PZPR. Ich szeptana propaganda i knowania polityczne deprawują podobno do dziś i dzielą Bogu ducha winnych, dobrych i prawdziwych Polaków tak, jak niegdyś czyniły to tajne służby PRL. Naród przez to traci zwartość i jego aktywność rozmywa się. W tych warunkach – powiada się – trudno wypracować wiarygodną, dalekosiężną strategię społecznego rozwoju.

A przecież w istocie brak perspektyw został z góry niejako wpisany w horyzonty poznawcze, polityczne i gospodarcze kolejno zmieniających się ekip władzy od jesieni 1989 r. Z jednej wszak strony rozplenione formy nacjonalizmów legitymizują rządzących i naturalizują krzyczące podziały społeczne, ale nie zawierają żadnych wskaźników kierunkowych ku przyszłości, bo służą tylko konserwacji status quo.

Z drugiej – pomyślności społecznej i rozwoju nie da się oprzeć na postępie kapitalizmu, bo przecie jedynym jego celem jest ślepa reprodukcja rozszerzona kapitału, zysk dla zysku nawet za cenę samozatraty. Jedno więc wraz z drugim sprawia, że władza w państwie ma taki horyzont, jak koń cesarza Kaliguli, którego on chciał powołać na stanowisko Pierwszego Konsula. Jeżeli jednak ten jego pomysł miał jakiś sens, bo owego konia otaczali właściwi stajenni, to państwo o horyzoncie konia może wzbudzać tylko „głuchy, drwiący śmiech pokoleń”.

Na razie jednak rozlega się tylko ideologiczne trele-morele. I w baraku naszym jest wciąż bardzo wesoło. Jak to w farsie.

Autorstwo: Jan Kurowicki

Źródło: Strajk.eu